

Życie na polu minowym. Rozmowa z czeskim pisarzem Milošem Doležalem

Życie w Europie Środkowej jest jak przejście po polu minowym. Nigdy nie wiesz, kiedy coś wybuchnie i co nieoczekiwanego wylezie na wierzch. Tutaj przeszłość – z jej winami i z jej oczyszczeniem – jest stale obecna, jak podziemna rzeka. Nieustannie natykamy się na tragedie, błazeństwa, szpicli, oprawców i męczenników. Główny smak? Gorycz, długotrwała. I zapach gotowanej kapusty – mówi Miloš Doležal w rozmowie z Przemysławem Dakowiczem opublikowanej w najnowszym numerze magazynu „Topos”. Poniżej publikujemy jej obszerny fragment przywołujący atmosferę czasu aksamitnej rewolucji w Czechach.

Miloš Doležal – (ur. 1 lipca 1970 r.) czeski poeta, pisarz, felietonista i reporter radiowy związany z Czeskim Radiem Praga. Absolwent socjologii na Uniwersytecie Karola w Pradze. Autorem wielu programów radiowych, filmów dokumentalnych i publikacji dotyczących II wojny światowej i terroru komunistycznego w Czechosłowacji, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów kościoła podziemnego na terenie Czech. Opublikowana przez niego w 2012 r. książka *Jakby nam już dzisiaj przyszło umrzeć* poświęcona męczeńskiej śmierci ks. Josefa Toufara zdobyła tytuł Książki Roku dziennika „Lidové noviny” i w 2019 r. ukazała się w języku polskim nakładem wydawnictwa IPN.

Przemysław Dakowicz (krytyk literacki i historyk literatury): [...]
Po wakacyjnej pracy (pod koniec lat 80. – red.) poszedłeś na studia?

Miloš Doležal (czeski poeta, pisarz i publicysta): Tak, to był koniec szkoły średniej. Nie bardzo wiedziałem, co pisać, ale nie miałem wątpliwości, że właśnie pisanie chcę się zająć. Różnych ludzi się radziłem i wreszcie postanowiłem pójść do Pragi na dziennikarstwo. Zaczęłem studiować jesienią 1988, jeszcze za komuny. Wtedy się to nazywało Wydział Dziennikarstwa, a później nazwa została zmieniona. Kończyłem Wydział Nauk Społecznych, specjalność dziennikarstwo i działalność wydawnicza. Zdecydowałem się na dziennikarstwo, bo chciałem opanować rzemiosło, poznać gatunki wypowiedzi.

I co, studia cię tego nauczyły? Miałeś praktyki w prasie, poznałeś redakcje jakichś gazet? Przecież wtedy rodziła się wolna prasa.

Oczywiście. To było piękne doświadczenie.

Opowiedziałbyś o nim?

Muszę zaznaczyć, że u mnie było to jeszcze połączone z konwersją, z powrotem do Kościoła. Był koniec komuny, wyjechałem z rodzinnej Wyżyny, rozpocząłem studia, mieszkałem z kolegami i koleżankami w akademiku. Przechodziłem kryzys egzystencjalny, głęboki kryzys. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Jiřím Bařtą, rzeźbiarzem z Wyżyny,

prowadziłem z nim ważne, głębokie rozmowy, które zasadniczo na mnie wpłynęły. Dzięki niemu poznałem działający w podziemiu Kościół.

To był rok 1988?

1988 i 1989. W Polsce Okrągły Stół, a w Czechach jeszcze bili ludzi.

Pewnie nie wiesz – ale u nas nie wszystko było tak różowo, jak mogło to wyglądać z perspektywy czechosłowackiej. W przededniu Okrągłego Stołu, 21 stycznia 1989 zamordowano ks. Stefana Niedzielaka, proboszcza ważnej parafii św. Karola Boromeusza, przy cmentarzu powązkowskim w Warszawie. To był powstaniec warszawski, propagator prawdy o Katyniu. 29 stycznia zabity został kapelan białostockiej „Solidarności”, ks. Stanisław Suchowolec. Trzy miesiące po zakończeniu rozmów komunistów z działaczami „Solidarności” zginął jeszcze ks. Sylwester Zych. Każdy z tych kapłanów był związany z opozycją. Historycy przypuszczają, że zbrodni dokonała komunistyczna Służba Bezpieczeństwa.

W Czechach Kościół działał w konspiracji.

Jak to wyglądało?

Jiří Bašta poznał mnie z księdzem Fialą, który nie występował oficjalnie jako ksiądz. Pracował jako stróż w jakimś magazynie, był pracownikiem fizycznym – ale odebrał tajne święcenia.

I odprawiał msze.

Potajemnie. W mieszkaniach prywatnych, w domach. Z tym księdzem rozmawiałem, zdecydowałem się na spowiedź generalną. Pamiętam, jak płakałem, było to tak mocne przeżycie. Szedłem ulicą, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje dookoła. Wszedłem do kościoła św. Ignacego na placu Karola i płakałem ze szczęścia, z radości, że nareszcie znalazłem w sobie stały punkt. Wiesz, ten podziemny Kościół budził sympatię. Był prosty...

...i prawdziwy?

Nie było w nim nic teatralnego.

Ani urzędowej hierarchiczności, biurokratyczno-organizacyjnej struktury, retoryki.

Żadnej retoryki, żadnej gry ambicji. Po prostu chrześcijaństwo katakumbowe. Ten ksiądz Fiala poznał mnie z Bohumilem Vitem Tajovským, ważną postacią w historii Josefa Toufara. Tajovský był opatem w klasztorze premonstratensów w Želivě, aresztowany przez komunistów, siedział dziesięć lat, potem pracował jako zwykły robotnik

fizyczny. Mówią mi: to jest opat. A ja widzę staruszka w kurtce, żadnych oznak kościelnych godności. Po upadku komunizmu zobaczyłem, jak ten Kościół zajmuje się raczej rzeczami drugorzędnymi (np. tym, gdzie mają mieszkać duchowni) niż ludźmi. Teraz wrócimy do klasztorów, odzyskamy swoje domy – o tym myśleli.

To przecież normalne.

No, tak – ale czy nie zapomnieli o ludziach?

A jednak ci duchowni, których spotkałeś, okazali się osobami bardzo dla ciebie ważnymi. Pomogli ci odnaleźć samego siebie.

Dla mnie to było ogromnie ważne. Jestem szczęśliwy, że ich poznałem – Kościół tak otwarty, Kościół zdziesiątkowany, działający w konspiracji. Wiesz, to prześladowanie miało głęboki sens.

Było próbą.

Nie uświadczyłeś tam żadnych barokowych rókiet, żadnych mitr, żadnych złotych krzyży, kielichów. Zamiast tego prostota, zwyczajność. Ale w tym konspiracyjnym Kościele człowiek był z człowiekiem.

Dojrzewałeś duchowo, przechodziłeś najważniejszą wewnętrzną przemianę, a wokół ciebie gwałtownie zmieniał się świat.

Gdy upadał komunizm, miałem dziewiętnaście lat.

Jak to pamiętasz?

Napisałem o tym opowiadanie.

Jaki nosi tytuł?

Delegace, vole. To była tragikomiczna sytuacja. Znalazłem się w grupie studentów, która jechała do Bratysławy rozmawiać ze studentami słowackimi, aby przygotować wspólny manifest, rezolucję. Jechałem tam między innymi z moim dobrym kolegą Mirečkem. Widziałem, jak ci chłopcy rozdzielają sobie funkcje...

Na twoich oczach ruch rewolucyjny się hierarchizuje. To tak prędko następowało?

Rwali się do rządzenia. „Ja będę przywódcą!” „Nie ty, ja – bo jestem studentem prawa!” I tak dalej. Wtedy studenci mieli pieniądze – ludzie im przynosili pieniądze na uczelnie. [...] Pomyślałem, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. To osobiste doświadczenie przekonało mnie, że dla niektórych rewolucja oznacza wielkie kuszenie.

Bardzo interesuje mnie sprawa wolnej prasy w tamtym czasie. Spotkałeś ludzi, którzy te nowe gazety robili.

Gazety, które wychodziły za komunistów, były związane z poszczególnymi partiami politycznymi. To znaczy: „Lidová demokracie” z ludowcami, „Svobodné slovo” z socjalistami, „Rudé právo” z komunistami. Szefowie gazet, telewizji, radia byli ludźmi związanymi z reżimem – ale zbuntowały się doły, zwykli dziennikarze. To dzięki uporowi szeregowych pracowników radia i telewizji na antenach zaczęły się pojawiać transmisje z najważniejszych wydarzeń aksamitnej rewolucji. Powstała pierwsza niezależna agencja prasowa-wydawnicza. Na szczęście, udało się jej pozyskać maszyny drukarskie z Austrii. Ja zaś byłem przy powstaniu dwutygodnika „Studentské listy”. Zaczęło się to u nas, na Wydziale Dziennikarstwa. Koledzy założyli gazetę, która tytułem nawiązywała do słynnej gazety z roku 1968. Te nowe „Studentské listy” to było bardzo nowoczesne pismo. Zaczęło się tu pisać o latach 50., o rosyjskiej inwazji, o maju 1945 w Pradze – jak wyglądało to praskie powstanie, jaką rolę odegrały wojska Własowa. Drukowano pierwsze rozmowy z emigrantami. W innych gazetach takich rzeczy nie uświadczyłeś.

Kiedy zaczęły wychodzić „Studentské listy”?

Przełom grudnia 1989 i stycznia 1990.

Czyli wtedy, gdy Havel został wybrany na prezydenta.

Wcześniej drukowaliśmy na powielaczu. Nie było kserokopiarek, trzeba było kręcić korbą powielacza.

Były to zapewne przede wszystkim druki ulotne – jedna strona, dwie strony...

Tak. Aż w roku 1990 z Austrii i z Niemiec zostały przywiezione pierwsze maszyny drukarskie. Dopiero wtedy można było robić gazety.

Pisałeś do tych gazet?

Nie za dużo, ale pisałem. Byli koledzy, którzy pisali znacznie więcej. Teraz jest w przygotowaniu książka o piśmie „Studentské listy”, przesłali mi to, co napisałem – dwa czy trzy reportaże, nic więcej. Robiliśmy inne rzeczy, jeździliśmy, na przykład, autami po kraju jako kolporterzy. Rozwoziliśmy ulotki.

I co, zostawialiście je w miejscach publicznych – na stacjach benzynowych, w poczekalniach?

Jeździliśmy po Wysoczyźnie, po miastach i miasteczkach. Rozmawialiśmy z ludźmi na rynkach i na placach, w gospodach i w szkołach. Niekiedy były to sytuacje całkiem groteskowe.

Który to był miesiąc?

No, listopad. Nie – grudzień '89.

Bezpieczniacy was nie śledzili?

Nie, nie tam.

**Aleja Narodowa (Národní třída), plac Wacława (Václavské náměstí)
– tam jeszcze działali. A ty – byłeś na placu Wacława?**

Oczywiście.

I dzwoniłeś kluciami?

Tak – przecież nasz wydział jest w centrum Pragi. Teatr Narodowy (Národní divadlo), kawiarnia „Slavia”, Wydział Filmowy i Telewizyjny (FAMU). Z okien sal wykładowych widzieliśmy wzgórze Petřín, Hradčany, niżej płynęła Wełtawa. W tym przełomowym momencie przyjechali do mnie rodzice. Przywieźli wałówkę i proszą: „Nie ryzykuj, jedź do domu, boimy się o ciebie”. Wałówkę rozdałem między ludzi i mówię rodzicom...

**„To wy idźcie do domu!” [śmiech] W jakich wydarzeniach
aksamitnej rewolucji uczestniczyłeś? Ja znam je, oczywiście, z
opisów Hrabala w *Listach do Kwiecieńki*.**

Z Listopadowego huraganu.

Tak. A teraz mogę usłyszeć relację bezpośrednią – nie Hrabala, który był obserwatorem i sprawozdawcą, lecz ówczesnego studenta, bezpośrednio zaangażowanego. Jakie to były sytuacje? [...] Bardzo mnie interesują właśnie twoje wspomnienia z Pragi. Stałeś na Václaváku, kiedy działy się rzeczy najważniejsze.

To były bardzo mocne sceny. A jednak wciąż egzystował strach; dziś okazuje się, że w pełni uzasadniony. Trwała próba sił między konserwatywnym a liberalnym skrzydłem partii komunistycznej. Że wszystko ostatecznie upadło – to piękne. Ale przecież nie wiedzieliśmy, w którą stronę sprawy pójdą. I odtajnione dokumenty pokazują, że różnie mogło być – szła gra o wojsko. Istniała rzeczywista groźba zaangażowania się wojska w konflikt, wyprowadzenia armii na ulice.

W którym miejscu placu Waclawa stałeś z przyjaciółmi?

Blisko balkonu.

Jednego z historycznych balkonów budynku Melantricha, z których przemawiał Havel, na których Karel Kryl i Karel Gott śpiewali wspólnie *Kde domov můj i Nad Tatrou sa blýska*, a Marta Kubisova pieśń *Molitba pro Martu*?

Tak.

Mieliście pęki kluczy?

Jasne, dzwoniliśmy kluciami.

Łzy wzruszenia ciekły wam z oczu?

Nie, łez nie roniliśmy. Ale pamiętam taką scenę – jeździliśmy z ulotkami, raz do Kutnej Hory, raz do Kolína. Zatrzymaliśmy się w małej wiosce pod Kutną Horą. Na placu czy na ulicy jakiś staruszek łopata przerzucał węgiel. Wręczyliśmy mu tę gazetę czy ulotkę, a on zaczyna płakać i mówi: „Dziękuję, chłopaki, dziękuję bardzo. Za Masaryka byłem krawcem, miałem małą firmę. Najpierw zabrali mi ją Niemcy, potem komuniści – teraz założę ją jeszcze raz”.

Przeżyłeś pałowanie przez jednostki bezpieczeństwa?

Nie, nie przeżyłem.

17 listopada w alei Narodowej...

Tam mnie nie było.

**A kiedy zacząłeś regularnie pisać dla prasy albo dla radia?
Najpierw „Lidové noviny”, a potem Czeskie Radio, prawda?**

Nie, skąd. Wcześniej była prasa katolicka. W epoce komunistycznej wychodziły „Katolické noviny”, gazeta prosowiecka i prokomunistyczna. Straszna. Redakcja kolaborująca z władzą.

Myśmy również mieli środowisko „katolików postępowych”, „księży patriotów”. Stowarzyszenie „Pax”...

Okropne.

Bolesław Piasecki, melanż nacjonalizmu, katolicyzmu i komunizmu – wybuchowa, brzydka mieszanka. Wydawali tygodnik „Dziś i Jutro”. Po śmierci Stalina na kilka lat przejęli także „Tygodnik Powszechny”.

Wyobraź sobie, co się stało... Pada komunizm, „Katolické noviny” zmieniają nazwę na „Katolický týdeník”. Mówi się: zaczynamy od nowa, z czystą kartą. Redaktorem naczelnym zostaje mianowany ksiądz Alois Kánský. Tajny współpracownik StB.

Wiedzieliście o tym?

Nie.

Przeszłość naczelnego miała wpływ na linię programową pisma?

Raczej nie miała. Straszne jest jednak to, że Kościół czechosłowacki nie poradził sobie ze współpracownikami StB. Kilku biskupów zostało zarejestrowanych jako współpracownicy...

To ta przeklęta epoka przejściowa – podobnie jak u nas. Wszystko ze wszystkim wymieszane, bo komunistom i donosicielom zależało nam tym, by nic nie ruszać, żeby „ludzie niepowołani” nie zaglądali w esbeckie dokumenty. Wyście przynajmniej mieli jakąś formę usankcjonowanej prawnie lustracji i dekomunizacji.

Alois Kánský został później odwołany ze stanowiska. Był jednym z nielicznych duchownych, którzy wyszli na ambonę i powiedzieli prawdę.

Przyznał się do współpracy?

Tak. Niewielu było na to stać.

Zaczynałeś więc w „Katolický týdeník”...

Najpierw pisałem omówienia i recenzje. Jeszcze jedna rzecz. W roku 1991 powstał miesięczny dodatek „Perspektivy”. Szefował mu Jarda Šubrt, mój przyjaciel. W pewnym stopniu wzorem był dla nas „Tygodnik Powszechny”. Stałem się członkiem redakcji, mimo że jeszcze nie

skończyłem studiów. Zajmowałem się kulturą – na osobnej stronie pisałem o wystawach, o spektaklach teatralnych i o książkach. Piękny etap.

Zapewne była to dla ciebie swoista szkoła pisania.

Działaliśmy w warunkach społecznej euforii. Obowiązywał jakiś etos, czytelna skala wartości. Prezydentem został Havel, u władzy było wielu dobrych ludzi, intelektualistów. Czeskie gazety pisały wtedy o poezji! Pamiętasz – w Polsce wyglądało to podobnie. Poziom prasy. Ostatnio w domu na Wyżynie paliłem stare gazety. Zacząłem je wertować i mówię: to niemożliwe! „Lidové noviny” z roku 1995 – były w nich cztery strony poświęcone kulturze! Dziś jest jedna. Wtedy drukowano tam felietony, glosy, noty, różne gatunki. Był to zupełnie inny czas.

I co – jak długo pracowałeś w „Perspektywach”?

Dwa lata. Później poszedłem do teatru. Zadzwonił do mnie wybitny czeski tłumacz i dramaturg Karel Kraus i zapytał, czy nie chciałbym pracować w reaktywowanym Teatrze za Bramą (Divadlo za bránou). Niewiele miałem wspólnego z teatrem, ale pomyślałem, że nadarza się okazja poznania czegoś nowego. W teatrze znalazłem żonę, pracowała tam jako aktorka. A potem...

Tak...

Potem miałem iść do wojska...

Jak to?

Zapomniałem napisać odwołanie. Otrzymałem rozkaz stawienia się w jednostce pancerniej – miałem zostać czołgistą.

Wcześniej, na kolei, przeżywałeś sceny jak z Hrabala. Teraz to istny Škvorecký...

Dalsza opowieść jest stuprocentowo czeska. Ustaliłem, że w urzędzie do spraw wojskowych w mieście Havlíčkův Brod pracuje pani, która kocha cinzano...

[śmiech]

Nakupiłem cinzano, dwie torby, i pojechałem. Bramę urzędu przekroczyłem jako pokorna owieczka. I mówię: „Proszę pani, jestem idiotą, zapomniałem napisać odwołanie, że z powodów psychicznych nie mogę zostać czołgistą. Czy nie dałoby się coś z tym zrobić?”. „Nie, nic na to nie poradzę!”.

Dramat.

No więc wyciągam pierwszą torbę z cinzano. I przesuвам w jej stronę. „Nie wiem, czy się da” – słyszę w odpowiedzi. Co było robić, w ruch poszła druga torba. „Chwileczkę, jak się pan nazywa?” Podeszła do

kartoteki, odszukała karteczkę z moim nazwiskiem...

I co?

Podarła ją. Po prostu podarła. Dała mi inny druczek. „Pan Miloš Doležal nie może iść do wojska – zamiast tego zobowiązuje się do pracy społecznej w takim a takim wymiarze”. To się nazywa u nas: zastępcza służba wojskowa. Mogłem się zgłosić albo do szpitali, albo do organizacji charytatywnych. Podpisałem.

A dalej?

Pracowałem w charytatywie. Havlíčkův Brod, dom dla kobiet, między innymi dla cygarek. Robiłem tam za głównego klawisza.

Klawisza?!

Nigdy nic o tym nie napisałem. A jest to nieprawdopodobna historia. Mieszkały tam, na przykład, żony, które doświadczyły przemocy i uciekły przed mężami. Albo panie lekkich obyczajów. Budynku tego miałem strzec dniem i nocą. Weźmy na to, że wypełniając moją misję, spaceruję wokół domu. I co widzę? Z ogrodu wspinają się chłopcy, do tych kobiet.

Jak to – wspinają się?

Miałem taką długą tykę i ściągałem ich. Musiałem być w stałym kontakcie z kierownikiem tego domu pomocy. Wciąż słyszałem: „Trzeba ich pilnować, strzec jak oka w głowie”. W pewnym momencie pomyślałem sobie: „Przecież nie będę klawiszem”. I poszedłem czytać książki.

Jak długo tam pracowałeś?

To była cała epoka. Dwa lata...

I tylko tym się zajmowałeś?

Tylko tym. Potem Josef Mlejnek został redaktorem „Lidových novin”. Dzięki niemu zacząłem tam pisać recenzje i felietony. Tematem pierwszego z nich była moja podróż do Krakowa. Rok 1994. Ale to było już po debiucie poetyckim, po książeczce *Podivice*. Wtedy już funkcjonowałem jako „młody zdolny” poeta.

Podivice zostały zauważone. Chwalił je Sergej Machonin. A kolejny tomik, *Obec* – przelożony później na polski i opublikowany w wydawnictwie „Czarne” pod tytułem *Gmina* – sprawił, że Jiří Kolář, niegdyś mistrz i promotor Hrabala, nazwał cię „czeskim Owidiuszem”.

Zanim ukazały się pierwsze książki z wierszami, zakończyłem pracę w domu opieki i sprowadziłem się z rodziną do Pragi. Mieliśmy już dwoje dzieci. Przez pewien czas zarabiałem rozlepiając plakaty. Nie miałem szczęścia – mój szef był grafomanem, pisał wiersze. Wchodzę po zmianie do biura, a on do mnie: „Siadaj, siadaj!”. Chciałem iść do domu, ale znowu słyszę „Siadaj!”. No więc siadłem, a on zaczął czytać – wszystko, co tego dnia napisał. „Siadaj!” i czyta przez godzinę, a na mnie czekają żona i dzieci, pracę dawno skończyłem. Dobrnął do końca. „Co o tym myślisz?”

[śmiech]

Następnego dnia było to samo. W tamtym czasie spotkałem w Pradze jezuitę Petra Kolářa, wybitnego teologa, który za komuny mieszkał w Paryżu. On mi mówi: „Słuchaj, w Czeskim Radiu zwolniło się jedno miejsce, nie chciałbyś tam spróbować?”. No i spróbowałem. W roku 1998 zacząłem pracę w Czeskim Radiu.

Dziesięć lat wcześniej po raz pierwszy wędrowałeś po śladach księdza Josefa Toufara, prawda?

W 1988.

I teraz mogłeś o nim opowiedzieć słuchaczom – w 1999 przygotowałeś pierwszą audycję o Toufarze. Ta historia zatoczyła koło: rodzinne opowieści; tradycja Wyżyny (z żyjącą tam legendą duchownego zamęczzonego przez komunistów); doświadczenie

rewolucji, która stwarza nowy świat; wreszcie – nowe media, szansa wypełnienia białych plam, możliwość osobistego opowiedzenia o tym, co przeżyte, przeanalizowane, zamienione w refleksję. Mówiłeś, że w 1988 po raz pierwszy głęboko odczułeś potrzebę zrozumienia historii.

Było to coś irracjonalnego. Muszę opowiedzieć o tym, co mi się tam, na Wyżynie w roku 1988, naprawdę przytrafiło. My, studenci również odczuwaliśmy strach.

To rozumiałe – wciąż trwał komunizm, a wy rozpytywaliście o sprawy związane z samym początkiem sowieckiego szaleństwa w tej części Europy, poszukiwaliście zarzewia tego społecznego konfliktu, który za rok miał rozgorzeć na dobre, wywracając do góry nogami dotychczasowy porządek.

Zanim mój kolega i ja wybraliśmy się na motorze do Čihošti, zamazaliśmy tablicę rejestracyjną. Baliśmy się – ale ludzie, do których przyjechaliśmy, bali się jeszcze bardziej. Motocykl ukryliśmy w krzakach i przyszliśmy do wioski. Centrum gminy, plac w środku wioski. Kiedy szliśmy przez ten plac, odczułem dziwne dotknięcie, osobliwą ingerencję z zewnątrz. Myślałem sobie: co się dzieje? Uczyniłem irracjonalny ślub, że się tej sprawie poświęcę.

Przyjechałeś tam z pełną świadomością, że będziesz chodził po śladach Toufara?

Po raz pierwszy sprawa księdza Toufara była publicznie rozważana w roku 1968. Kiedy nastąpiło polityczne poluznienie, tak zwana Praska Wiosna...

...zajął się tym jeden z dziennikarzy.

Nazywał się Jiří Brabenec. Moja babcia miała w domu dzienniki z reportażami Brabencana. Znalazłem je, przeczytałem i dotarło do mnie: przecież to bardzo blisko. A babcia mówi, że znali Josefa Toufara, że mój dziadek i ksiądz nie raz rozmawiali jak przyjaciele. Więc to ma wymiar osobisty... A ja nigdy nie byłem w Čihošti! Opowiedziałem o tym koledze ze studiów, Jaromírovi Rokošovi. On miał motocykl. Postanowiliśmy: pojedziemy i zapytamy, jak to było, co dokładnie się stało...

I jak wam poszło?

Ludzie uciekali przed nami. Wszyscy uciekali. Jakbyśmy byli trędowaci. Ktoś się rozgadał i mówi: „Idźcie do gminy, tam jest Maria Pospíšilová, ona wam wszystko opowie”. Później mi to wyjaśnili – bali się, że jesteśmy prowokatorami.

Mieli was za współpracowników StB.

Odszukaliśmy panią Marię. Wszystko nam opowiedziała – z wielką prostotą. Wciąż rządzą komuniści, trudno było przewidzieć, co się wydarzy. A jednak wyjaśnienie tej historii uważałem odtąd za osobistą powinność.

Napisałeś pracę dyplomową o Josefie Toufarze.

Rzeczywiście. Niestety, kiedy zbierałem materiały, nie były jeszcze otwarte komunistyczne archiwa. Najważniejsze było jednak co innego – że nie leniłem się i ruszyłem między ludzi. Żyli jeszcze naoczni świadkowie. Z nimi rozmawiałem.

W którym roku?

W dziewięćdziesiątym. Miałem wielki dyktafon kasetowy. Chodziłem, zadawałem pytania, nagrywałem. Zdążyliśmy nagrać panią Polívková.

Panią Polívková odwiedziłeś w szpitalu, prawda?

Zgadza się. A później, w 1998 był proces przeciwko pracownikowi StB Masze. Chodziłem na rozprawy.

Ladislav Mácha był tym, który zamęczył księdza Toufara podczas przesłuchania.

Po rozprawach odprowadzałem go do domu. Miał zwyczaj wracać z sądu pieszo. Był to dla mnie kolejny wymiar całej sprawy. Oglądałem ją z drugiej strony.

**Czy on znał twój pogląd na historię „czychoskiego cudu”?
Wiedział o twoim zaangażowaniu?**

Nie, absolutnie nie. Jawiłem się jako bezstronny obserwator. On mnie o nic nie pytał, to ja pytałem.

I co, otworzył się?

Trochę się otworzył. Coś mi o sobie opowiadał.

Wyraził żal, że nie zrobił kariery leśnika. Był to jego jedyny żal.

Oglądałem tę sprawę z nowej perspektywy. Archiwa ciągle były jednak zamknięte.

Kiedy zostały otwarte?

Dopiero w 2007. Bardzo późno.

To ogromnie długa droga – od roku 1988 do roku 2012, kiedy wychodzi twoja książka. Długie oczekiwanie.

Wiesz, we mnie to dojrzewało. Żaden czas mnie nie ograniczał. Wiedziałem, że chcę to uchwycić w całości, jako opowieść o losach czeskiej wsi w dwudziestym wieku. Pełną historię Josefa Toufara, nie tylko jego męczeńską śmierć.

Na zewnątrz byłeś poetą, dziennikarzem czeskiego Radia, a w środku, w jakiejś innej przestrzeni, pisałeś tę książkę o Josefie Toufarze.

Dzięki temu, że pracowałem w Radiu, miałem możliwość rozmawiania z wieloma duchownymi, którzy na własnej skórze zaznali rozmaitych straszności XX wieku. Powoli dochodziłem do zrozumienia, kim jest ksiądz, mogłem zajrzeć „do duszy” osoby duchownej.

Bez tego nie pojąłbyś Toufara, jego konsekwencji i uporu.

Wtedy nie wiedziałem, że to warunek konieczny. Byłem konfrontowany z rozmaitymi losami osób duchownych.

Chcesz powiedzieć, że doświadczenia tych wszystkich lat prowadziły cię do historii Josefa Toufara? Że inaczej nie stałbyś się zdolny do jej opowiedzenia?

Właśnie tak. Ale uświadomiłem sobie to znacznie później. Wszystko się nawarstwiało, rosło – jak słoje drzewne. Przecież wcześniej próbowałem pisać tę książkę. I nie udało się. A za drugim razem – zmarła mi mama, nagle i nieoczekiwanie.

Zostałeś doświadczony, znalazłeś się pod ciśnieniem. Jak to wpłynęło na pracę nad książką o Toufarze?

Pisanie o losach kapłana męczennika, o znęcaniu się nad nim i rozłożonym w czasie mordowaniu go przez pracowników StB, jakoś mi pomagało. Odczułem, że naśladowanie Chrystusa jest tu zupełne i totalne, że to wejście Josefa Toufara na Golgotę, krzyżowa droga ze wszystkimi jej atrybutami. Znajdowałem w jego życiowych wyborach oparcie i zdarzało się, że miałem wrażenie, jakbym to nie ja pisał tę książkę...

Nie męczy cię pisanie o historii, o mordowaniu, o śmierci? Nie masz już tego dosyć?

Doskwiera mi to. Silnie wpływa na psychikę. Parę razy krzyczałem przez sen: „Strzelaj! Strzelaj!”. Żona mi o tym mówiła. Kiedyś siedzę w archiwum, jest zupełna cisza, czytam zeznania świadków, i nagle nie wytrzymuję: „Ty świnió, kłamiesz!”. To oczywiste, że pogrążam się w przeszłości, wszystko przeżywam i długo nie mogę oczyścić pamięci. Przecież sam tego doświadczasz. Gdy piszesz o morderstwach, o śmierci, o bólu – to jakbyś przechodził przez ciemne grzęzawisko. I czekasz, aż zabłyśnie jakieś dające nadzieję światło. Wypracowałem już,

na szczęście, mechanizmy obronne – czyszczę sobie głowę pracą fizyczną, rąbię drzewo, dbam o drzewka, przenoszę kamienie. No i zmieniam tematy, staram się je przeplatać. Po książce *Čurda z Hlíny* napisałem sztukę teatralną i książkę dla dzieci – historię wielbłądzicy, którą po wojnie, w roku 1945, w lesie na Wysoczynie znaleźli harcerze. Przez tydzień prowadzili ją do praskiego ZOO, przeżywając po drodze niezwykle przygody, spotkali pijanych rosyjskich żołnierzy i rzeźnika, wzięli udział w pogrzebie. Ciekawe, że jednym z tych małych harcerzy był Miloš Forman, późniejszy sławny reżyser filmowy.

Czego się dowiedziałeś o człowieku i o Europie Środkowej, może także o świecie, kiedy czytałeś i pisałeś o Josefie Toufarze, o Čurdzie, Buście, o małżeństwie Felklów i o innych postaciach z najnowszej czeskiej historii?

Że życie w Europie Środkowej jest jak przejście po polu minowym. Nigdy nie wiesz, kiedy coś wybuchnie i co nieoczekiwanego wylezie na wierzch. Tutaj przeszłość – z jej winami i z jej oczyszczeniem – jest stale obecna, jak podziemna rzeka. Nieustannie natykamy się na tragedie, błazeństwa, szpicli, oprawców i męczenników. Główny smak? Gorycz, długotrwała. I zapach gotowanej kapusty. Przecież to w Europie Środkowej (a dokładniej: w Pradze) narodzili się Golem, robot, Józef K. i Józef Szwejk – upiorne figury. I, jak powiada mój wielki przyjaciel, historyk sztuki i eseista Josef Kroutvor (jego znakomita książka *Problemy z historią* ukazała się także w Polsce), Europa Środkowa jest to „ciągły kryzys, nieustanne rozdrabnianie, rozpad całości [...]”. Wszystkie deformacje rzutują, rzecz jasna, na ludzkie charaktery”.

Z języka czeskiego przełożył Przemysław Dakowicz

Fragment rozmowy z Milošem Doležalem. Lekturę całości polecamy w nowym numerze dwumiesięcznika literackiego „Topos” (nr 1/2020)

1Na język polski przełożono i wydano jako osobną książkę drugi z czterech esejów składających się na Problemy z historią (Potíže s dějinami). Zob. kolejny przypis.

2Cyt. za: J. Kroutvor, *Europa Środkowa: anegdota i historia*, przeł. J. Stachowski, Izabelin 1998, s. 33.